

Cebula Adam

Miejsce, gdzie stukam

Jestem z Przedborowy. Niekoniecznie z Przedborowej, ale z Przedborowy. Ukończyłem Szkołę Podstawową w Przedborowie. A tak. Nie w Przedborowej tylko w Przedborowie, a jestem z Przedborowy. Żeby dojechać do tego najważniejszego dla mnie miejsca na świecie, w którym zaczyna się szlak na Biegun Północny, trzeba zjechać cztery razy z głównej drogi. Raz w Ząbkowicach Śląskich, raz z drogi zwanej Legnicką, i dwa razy w samej Przedborowie. No, ale ja sobie mogę skręcać, skręcam nawet gdzie indziej, ale tam już nie mam co szukać. Mieszkam i stukam we Wrocławu. W sumie każdy w końcu gdzieś może straszyć, więc ja tu, a nie tam, gdzie zaczyna się szlak na Biegun Północny.

Wytyczyłem go kompasem. Przyłożyłem do okna w kuchni, z dokładnością do trzech stopni, igła pokryła się z największą kreską na skali oznaczoną "0". Sprawa prosta, jak w mordę strzelił, to znaczy, jak strzelił iść prosto, i trafimy na Morze Białe i na wielkie pola kry, byle konsekwentnie, dojdziemy do miejsca, w którym stoi czerwona chorągiewka oznaczająca biegun, a jakby jej nie było, to stawiamy swoją, żeby było wiadomo, że to tu. Niestety, najpierw jest wysypisko śmieci, potem trzeba się przedrzeć przez bagno nad stawem, który też widać z okna w kuchni, a za bagnem jest łąka, na której czasami pasał się byk. Centkiewiczowie nic nie pisali, jak radzić sobie z bykiem, więc nigdy na Biegun Północny nie doszedłem. Niestety, nie ma już kuchni, więc nie bardzo jest jak zacząć drogę, bo tak czy owak musiałaby się zaczynać z kuchni mojego rodzinnego domu. Tej wyprawy już nie można przeprowadzić.

Wiele innych rzeczy już w zasadzie dawno nie można, co dałoby się wytłumaczyć, gdyby zdarzenia ułożyć w ciąg chronologiczny. Niestety, od jakiegoś czasu zaczynają się dziać dziwne rzeczy. Bo, na przykład, logiczne jest, że z tatusem nie mogę sobie pogadać, skoro tatuś jest od dawna świętej pamięci. A jednak czasami docierają do mnie jego słowa, czasami całe zdania. Rozmawiamy mozolnie czasami całe tygodnie. Nie zawsze, nie o wszystkim. Ale... Że na przykład miał spędzić życie we Wrocławu. A nie chciał, może chciał, ale mu głupio było... Sam nie wiem, czy można takie rzeczy wiedzieć. Bo mnie też jest głupio. We Wrocławu na co dzień łatwiej jak w Przedborowie. Chociaż i tu, i tam jesteśmy z innej planety.

Prawdziwi mieszkańcy wynieśli się na skutek jakiegoś kataklizmu. Zastaliśmy opuszczone przez nich domy, zapory, maszyny, drogi. Odgadujemy, do czego służą, gdzie prowadzą, co zatrzymują. Znajdujemy porzucone na strychach książki w niezrozumiałym języku, odszyfrowujemy, ufając kamieniom z Rosetty, ich treści. Ale i tak odkrywamy ledwie ułamki wiedzy. Nie sprawdzają się nasze przysłowia i przepowiednie. Nawet ja, który jestem urodzony już na tej planecie, czuję jej obcość. Co raz odkrywamy pod płatem świeżej farby uparcie wyłazące napisy, które układają się w dziwne brzmiące dźwięki.
Wasserman .

Tak więc ich, prawdziwych mieszkańców już dawno nie ma, ale co jakiś czas odzywają się do nas w swoim języku, jakby chcieli coś wytłumaczyć albo przestrzec przed czymś. Przecież ich przepowiednie i przysłowia tu ciągle działają.

Kiedy byłem dzieckiem, odkrywaliśmy tajemnice ich elektrycznych instalacji, ich wodociągów, które działały wbrew nam, Wandalom. Niszczyliśmy ich urządzenia, które nam pomagały żyć, bo ich pomoc była niespodziewana i krzyżowała nasze plany. Lecz niektórych nie potrafiliśmy zrujnować. I działają nadal, wbrew upływowi czasu i nam, chronione najwyraźniej potężnymi formułami tajemnej techniki.

Niektóre udało się nam przełamać i spotyka za to nas kara. Oni budowali swoje drogi bardzo pracowicie, wykładając je kamieniami. My odkryliśmy prostsze sposoby: nasze drogi są gładkie jak stół,

robią je maszyny, prawie bez wysiłku mięśni. Okazało się, że czekała na to specjalna, pozostawiona przez nich przyczyna. Oni wiedzieli, dlaczego trakty mają być pokryte kocimi łbami. Nasz spryt okazał się wygodnictwem. Czarna maź, na początku równa jak stół, zaraz potem popękała. Trzeba było spojrzeć w dół, w koło, zaprzyjaźnić się z ziemią, żeby dostrzec, że jest plastyczna, a nawet sprężysta, że poddaje się ciężarowi wozów. Połamaliśmy ceramiczne rurki, którymi spływała woda z pól, bo straszyl ich nieznany przebieg, tajemnicze wloty, niespodziewane skręty, nieznane ujścia. A nuż prowadzą do... Strach wypowiedzieć, gdzie. I pola zamieniły się w bagna. Porozbijaliśmy zastawy w wodnych oczkach, teraz zalewa nas woda. Zwalamy na jakieś gazy cieplarniane, a zwyczajnie, niczym krnąbrni uczniowie czarnoksiężnika, mieszamy na oślep ze sobą mikstury i nie potrafimy zapanować na skutkami.

20 czerwca 1974 roku odkryłem, jak ma się czas indywidualny, osobisty do czasu *Greenwich*. Pierwszy jak nitka, drugi jak cerowana skarpetka, obaj udają. Pierwszy, że biegnie po prostej, drugi, że jest składnikiem płaskiej powierzchni ce-te. Dopóki ich nie przymusisz, odzegnują się od Legnicy i Mińkowskiego. W rzeczywistości drugi w pierwszym tworzy niezliczone pętle, czasami przesywa go na wskroś, że skarpety włożyć się nie da. Usiłuje z pierwszego stworzyć jakąś całość, przyciągać porwane brzegi. Bo czas uniwersalny jest znoszony na skutek używania przez całe wieki. Ma dziury, przez które wypadają i gubią się fakty. Od 20 czerwca 1974 roku zaczynam uważnie obserwować kalendarz. Prowadzę staranne notatki, czasami nastawiam kilka zegarów. Nie ufam mu.

Przyczyna tkwi w tym, że mój czas, na wsi, zdawał się być zupełnie statyczny i nie prowadzący donikąd. Tak jak jest, miało być, cokolwiek miało się odmienić, to w jakiejś zupełnie niedosiężnej przyszłości. A jednak zmiany następowały. Najpierw przestałem przychodzić do szkoły podstawowej. Musiałem zacząć dojeżdżać do miasta, do liceum. Wszelako i ta zmiana zdała mi się zupełnie dobrze wbudowana w wiejski rytm. Wracałem co dnia do domu. Miałem za zadanie się uczyć, czasami coś zrobić, a wszystko bez określonego celu, ponad jednym: doraźnym przetrwaniem. Jednak wbrew mojemu wewnętrznemu ustabilizowaniu, uniwersalne lata *Greenwich* mijały i nieubłaganie okazałem się za stary i za bardzo wykształcony jak na pobieranie nauk w małym powiatowym mieście.

Jakimś cudem zdałem egzaminy wstępne. Nie wiem, jakim. Najprawdopodobniej nie były trudne. Może dlatego? I zostałem studentem fizyki. Dziwne. W moim przedborowskim życiu coś zaczęło trzeszczeć. Okazało się, że więcej siedziałem tam, czyli we Wrocku, niż w domu. Po co? No tak jakoś wyszło. Przygoda zupełnie banalna. Nazywa się to przenosinami ze wsi do miasta. Trochę byłem zdziwiony, bo nie planowałem żadnych przenosin, ale też chyba nie o to chodziło.

Ponieważ siedziałem w mieście, ponieważ nie miałem telewizora, albo zupełnie bez powodu, włóczyłem się po tym mieście. Odkryłem na peryferiach ślady wydarzeń, które chyba nigdy nie miały miejsca: cmentarz wojskowy z czasu I wojny światowej. Ciekawe, to jednak była? Ktoś przeczytał napisy, przetłumaczył z ichniejszego na nasze. Ciekawe... Kolejny kawałek historii Obcej Planety połączył się w całość ze znanymi opowieściami. No tak... podczas tej wojny właśnie zginął mąż babci S., która wcale nie była dla mnie babcią. Ale... proszę. Zdarzenia tam, na Wschodzie, skąd spadliśmy na ten ład, okazały się zbieżne ze zdarzeniami tu. Oto fragment hieroglifów okazał się czytelny.

Ale poza tym cały obszar parku na końcu ulicy Grabiszyńskiej był jak nieznana świątynia. Pozostały posążki, ktoś pozrywał tabliczki z nazwami świętych. A najczęściej sami święci leżeli pozwalani gdzieś w krzakach. Można się było tylko domyślać, że się łączy po byłym, zarosłym chwastem cmentarzu. Tylko prostokąty z tui i jałowców o tym świadczyły. Jakiś byt zniknął, został zrównany z ziemią. Nie ma.

Dlaczego łączyłem po tych wertepach nocą? Nie wiem. Może dlatego, że miałem nadzieję spotkać jakiegoś ducha, który mi coś wyjaśni. W każdym razie wsiadałem do tramwaju czwórki, kolebałem się nim na samą pętlę, tam wyłaziłem na wielkie wysypisko gruzu, na którym urządzono jeszcze jeden cmentarz Naszych Bohaterskich Żołnierzy. Tak sterylny i tak wojskowy, że ani trochę nie cmentarny. Kombinowałem, jak wleźć na prawie trzydziestometrowy pomnik, który kusił pomarszczoną powierzchnią do spróbowania swych sił. No nic z tego, bo żadnych możliwości asekuracji.

A potem często wracałem na przełaj przez krzaki, przedzierając się niemal na azymut na widoczne przez liście światła ulicznych latarni. Któregoś dnia, czy raczej nocy, forsując zapory z jałowców oddzielających domniemane grobowe kwatery, dostrzegłem znajomy blask ogniska. Tak. Znajomy. Na wsi ognisko jest czymś zwyczajnym, w mieście bardzo niezwyczajne. Dlatego pewnie, widząc migotliwe żółtawe światło, poczułem się swojsko. Dopiero po chwili mogłem się przekonać, że siedzi przy nim dwu, czy może trzech osobników, których raczej powinienem się obawiać. Ale zorientowałem się, gdy dostrzegli mnie. Podnieśli się, wypatrywali. Na odwrót było za późno. Podniosłem kawał jakiegoś drewnianego koła i ruszyłem na nich. Rozwiązanie było tyleż skuteczne, co intuicyjne, bez głębszego planu i zastanowienia. Po chwili zrozumiałem rozmowy.

– Niemiec wylażł grobu i lezie na nas.

– Nie ma żadnego Niemca, to nie jest człowiek, to duży pies!

– E, może mała uciekła z ZOO?

– Ja wam mówię, że Niemiec! – Nagle zerwali się i zaczęli uciekać w popłochu. Na oślep przez krzaki. Zostawili ogień i niedopitą wódkę.

Tak zwanemu normalnemu człowiekowi przygoda powinna dać do myślenia i uświadomić, że bezpiecznie nie jest! Ale najwyraźniej, tu we Wrocławu robiłem to, co moi kumple w Przedborowie nazywali kawalerką. Pójście w kawalerkę bynajmniej nie miało prostego podtekstu seksualnego ani prokreacyjnego. Oznaczało to raczej chęć zaznania przygód, może poznania świata. Kończyło się niespodziewanymi potyczkami w odległych, okolicznych wsiach, czasami płomiennymi romansami, czasami psimi dowcipami. Trzeba było się wyszumieć. Każdy to rozumiał. Więc pewnie szumiałem tu. A z braku rozeznania w tutejszych zwyczajach kawalerskich szukałem doznań w samotnych wyprawach. Więc nadal łąziłem po parku na Grabiszyńskiej ciemnymi nocami, ryzykując pobicie, ale też i wzbudzając niepokój okolicznych lumpów. Uważałem tylko, by się zanadto nie zbliżać. Może byłem sprytny, może zwyczajnie miałem szczęście, lecz nigdy nic mi się nie stało. W końcu się wyszumiałem i przestałem.

W czasie, gdy inni zaczynali stawać mocno nogami na ziemi, mnie się rzeczywistość zaczęła mieszać z fantazjami. Oto okazało się, że ktoś potrzebuje mojej fantazji. Lecz rzecz cała ma swój odrębny tor w czasie, jak kawałek starej nitki w skarpetce. Początek i koniec w zupełnie niespodziewanych miejscach. W roku 1983 wydajemy jako grupa literacka No Wave zeszyty z opowiadaniem. Grupa literacka... Akurat. Kilku kolesiów. No, musi być jakaś grupa literacka, żeby nam dali papier. Nawet w tym celu zapisuję się do ichniejszego ZSP, działając oczywiście przeciw soюзom, na dwa fronty, Mata Hari, psia jego mać. W roku 2003 wrzucam w przeglądarkę "cebula" i okazuje się, że w roku 1999 ktoś rozpaczliwie poszukuje świadków grupy literackiej No Wave. Co się z nimi stało? Gdzie przepadli Dębski, Drzewiński, Ziemiański Ingłot? No i jeszcze ta cebula. Jestem, chłte, chłte. Chwilę cieszę się oblesnie i jak mija ta chwila, to zaczyna mnie ogarniać strach. Cholera, jestem, ale mnie nie widać! Co jest kurna! Ktoś się pyta nie o nas, tylko o świadków. A na nas krzyżyk! Że co? To my już historia? Przedmiot badania, który nic już od siebie powiedzieć nie może? Ślę maila. Nic, próżnia. Jak bym się wydierał z tamtej strony snu. Co chwilę sprawdzam w lustrze, czy mnie jeszcze widać.

W 1983, potem 1986, 1997, a może jeszcze w innych czasach stwierdzam, że niekoniecznie dobrze działa arytmetyka i rachunek prawdopodobieństwa. Polega to na tym, że we Wrocławu wszyscy się znają. To niemożliwe w mieście, które liczy prawie 800 tysięcy ludzi, ale gdy się z kimś spotkasz, okazuje się, że zna kogoś, kogo ty znasz. Dziwna własność tego miasta. Bo w stolicy, to na ogół ludzie są nowi. Są warszawiakami chwilowo. I zaraz ich nie ma. We Wrocławu przychodzę do Żaka i opowiadam o Harrym Ł. jak o mieszkańcu Księżycy, a tu proszę bardzo: znają.

Na przykład idę kiedyś do roboty z ulicy Tenisowej koło radia i wpadam na Andrzeja Waligórskiego. Odruchowo mówię mu "dzień dobry". Patrzy na mnie zdziwiony, ale odpowiada. No nie znam go. Widziałem tylko w telewizji, więc był kimś całkiem abstrakcyjnym. Wszelako nie ma tej własności, którą

przejawiają postaci ze srebrnego ekranu, że w rzeczywistości wyglądają całkiem inaczej. On wygląda właśnie jak on, tak, jakbym go spotykał już wiele razy. Więc od tej pory mówię mu już zawsze "dzień dobry". Tak zwyczajnie. I kiedyś idę, on macha do mnie. Jakbyśmy się znali, bo w zasadzie się znamy, skoro mówimy sobie "dzień dobry". Trzeba popchać malucha, bo to te czasy, kiedy ludzie jeżdżą maluchami i nie ma akumulatorów. Pchamy i nic. Ktoś ma jeszcze przyjść i Waligórski zaczyna wyjaśniać kulisy naszej znajomości. Przyznaję się, że go nie znam. A gdzie ja pracuję? Na fizyce, na uniwerku? To na pewno znam Z. Znam Z. Jak miałbym nie znać?! A o Augustynie pan Waligórski słyszał? Słyszał!

Niestety, są niedobre strony takiej znajomości wszystkich. Czas się zapętla i sprawy nas ciasno omotują. Kiedy jest pogrzeb, to czasami to jest ktoś całkiem nieznajomy, ale znacznie częściej wiadomo bardzo dobrze, w kogo uderzyło. Znajduje się ktoś w otoczeniu, kto zastyga, zamyśla się.

Młodzi jeszcze tego nie wiedzą, że zasadniczą funkcją czasu jest przynoszenie wieści o pogrzebach. Starzy dają się ciągle temu zaskoczyć. Ciągłe powtarzają, że taki młody, zaledwie siedemdziesiątkę przekroczył... albo czterdziestkę. Wszystko jedno. Po uderzeniach śmierci wokół nas robią się czasowe supły. Idę teraz obok radia i przygotowuję się, że z drzwi wybiegnie Andrzej Waligórski. Idę ulicą dawniej Rosenbergów, teraz Parkową. Zdaje mi się, że zobaczę Wandę Błaszkiwicz, którą wszyscy znają jako Rutkiewicz. A tam już nie ma Klubu...

Ojca tu nigdy nie było... Ale czasami, spacerując nad Odrą, mam wrażenie, że słyszę jego głos, znowu za długo się bawiłem i nie zdążę odrobić lekcji... Ada-am – woła mnie. Dziwne uczucie, ulga, że nie ma żadnych lekcji, i żal, że to wszystko jest już było, nieobowiązujące.

Kiedy z czasem się coś robi, to pojawiają się osoby, nie tylko z naszej wyobraźni, nie tylko te zapamiętane twarze. Spotykamy ludzi, których nigdy nie widzieliśmy. Gdzieś jest sobie racjonalność, fizyczność, obok niej płynie sobie życie, z tysiącem dziwnych, niewyjaśnionych faktów, albo niby wyjaśnionych, albo tak na dwoje lub troje, jak babka wróżyła.

Kierowca Maxa Berga tupie. Moja dziewczyna mieszka w dawnym garażu tego architekta, który zbudował Halę Ludową, jak się ten zabytek modernizmu teraz nazywa. To malutkie mieszkanko, taka służbówka, ale z czasach, gdy w Polsce brakuje przede wszystkim mieszkań, jakkolwiek lokal w mieście jest bardzo cenny.

Siedzimy w pokoju, a w kuchni trzaska podłoga. Mówimy, że to na skutek dylatacji, że rozszerzalność termiczna. Ale prawda jest taka, że to duch kierowcy. Łazi od kuchenki do okna, potem do schodów, złazi na dół, na betonie nic nie słyhać, potem włazi na górę. Coś robi przy kredensie, aż dziwne, że nie dzwoni łyżeczkami, głowę bym dał, że robi sobie herbatę. No taka przebitka sprzed stu lat. Czas, jak wszystko na tym świecie, nie musi być dość precyzyjny. Czasami coś w nim zaszwanuje, zamiast grzecznie gnać do przodu – zawróci, zatrzyma się, zapętli.

Oglądam w naszym instytucie zdjęcie z Kongresu Intelktualistów. Nie przedruk, oryginał. Pogięty na rogach. Trochę poplamiony. Dlaczego w tym instytucie ma nie być takiego zdjęcia? Powinno być! A potem w nocy wydaje mi się, że jakiś człowiek w kapeluszu z wąsami wychodzi z gmachu Polibudy. Nikt już dziś nie chodzi w kapeluszu, on mi też rozplywa się szybko, czy skręca w jakąś bramę. Nim zdążę otrząsnąć się z wrażenia, facet podobny do Alberta Einsteina znika. Potem słucham opowieści o tym, że słynny fizyk tu zabłądził. A może to potem było najpierw? Nigdy już tego nie rozplączę, skoro są kłopoty z czasem.

Dziwne miasto. Mówię "dzień dobry" nieznajomym. Oni mnie jednak pamiętają. Zdarzenia dzieją się wielokrotnie, odbijają echem, jak kroki kierowcy Maxa Berga. My mieszkamy tu jak przybysze z obcej planety. Oto w czeluściach szaf znajduję starą triodę (kto dziś jeszcze wie, co to trioda?) z lat trzydziestych, a potem znajduję książkę pisaną ich dziwnym językiem, gdzie jest rysunek tej lampy. Dwa przesłania, przedmiot i myśl spotykają się. Niby przypadek.

Ja jednak tu się nauczyłem, że istnieje rzeczywistość fizyczna oraz obserwowana. Fizycznie nie ma duchów, zwłaszcza kierowcy Maxa Berga, lecz ów brak nie ma przesłania. W rzeczywistości obserwowanej moimi oczami, moim strachem, on chodzi tam i nazad, i cóż z tego, że łatwo udowodnię, że to tylko deski klawiszują. Szkoda czasu, trzeba się wsłuchać, wpatrzeć w cienie, odczytać. Bo tylko rzeczywistość, którą ja widzę, nie którą udowodnię – opowiada, szepcze, pokazuje. Zastanawiam się więc, co z owego spotkania wynika. Tak jest w tym mieście.

A jednak jestem z Przedborowy. Wystarczy trochę ciszy, bym usłyszał przeciągłe Ad-am, Ada-am! To woła mnie ojciec, który mówił, żeby go pochować właśnie tam, na małym wiejskim cmentarzyku.

Idę sobie skwerem, przy dawniej Neue Adalbert Strasse, dawniej ulicy Wieczorka, pewnie na jakiś czas Wyszyńskiego. Myślę sobie, że jeszcze nie zdążyłem się przyzwycząić do tej Ziemi, rozgryźć jej zagadek i formuł tajemnej techniki, a tu już trzask, zamyka się rozdział historii. Podstawiają pierwsze wagony dla wypędzanych na odległe planety. Z innych pociągów na Świebodzkim już wysiadają nowi osadnicy, nadadzą swoje nazwy ulicom i placom.

Tymczasem przede mną zwyczajnie, jak najbardziej prozaicznie jakieś lumpy piją piwo. Młodzi i starzy. Ja już wiem, że ci starzy mogą być młodszy ode mnie. To taki wpływ zdrowego życia na łonie natury. Masz czterdziestkę, wyglądasz na siedemdziesiąt. I jeden opowiada o strasznej przygodzie w parku na Grabiszyńskiej, że jakiś Niemiec wylazł z grobu i szedł prosto na nich. Miał jakiś wielki karabin w ręce. Aha. To o mnie...

No cóż, jestem z Przedborowy, ale straszę i stukam tu, we Wrocku Breslau, czy jak się w kolejnym meandrze czasowym nazywa.